POLAK
CUDZOZIEMIEC w WARSZAWIE.

POLAK

CUDZOZIEMIEC w WARSZAWIE.

KOMEDYA

WE TRZECH AKTACH.



w WARSZAWIE 1778.

Nakładem y Drukiem MICH. GRÖLLA,
Kśięgarza Nadwornego J. K. Mci.

POLAK

CUDZOZIEMIEC w WARSZAWIE

KOMEDYA

WE TRZECH AKTACH.

OSOBY.

STAROSTA, Oyciec Heleny.
HELENA, Córka.
WIERNICKI, Przyiaciel.
AGATKA, Służąca.
ERAZM, zaręczony z Heleną.
MARQUIS de Trantquarant, przyiaciel Erazma.
PODCZASZYNA, Siostra Erazma.
PODCZASZY, Mąż.
BARTŁOMIEY nazwany, LA FLOR, Służący Erazma.

POLAK CUDZOZIEMIEC w WARSZAWIE.

AKT I.

SCENA I.

HELENA AGATKA.

Helena siedzi przy Klawikorcie, potym bierze książkę, którą znowu kładzie z niespokoynością.

HELENA.

W dziecinnym wieku byłam, kiedy mnie zaręczono Erazmowi; Oycowie nasi żyli w przyiaźni, y zrobili między sobą tę umowę. Erazm długo w Paryżu siedział, iego Oyciec umarł, a móy rozu-

rozumi, że powinien dotrzymać słowa przyiacielowi y po śmierci (nie dziwuię się, znam charakter iego mocnieyszy nad przypadki) ale o całe życie chodzi, a ia Erazma tak mało znałam. Czyż mogło mu się serce moie obiecać? .... Agatko! powiedz mi, co też o nim mówią, wszak tu iuż iest od kilku dni, a ieszcześmy go nie widzieli.

AGATA.

Mamże prawdę powiedzieć Pani bez urazy?

HELENA.

O moia Agato! wiesz, iak mnie mało interesuie, y iak zemną mówić możesz.

AGATA.

Wszyscy, co go widzieli, mówią, że piątey krokiewki w głowie u Panięcia nie dostaie, wszystko mu w Polszcze śmierdzi, dziwuie się sam sobie, że z Paryża wyiechał, gdzie mu wszystko pachnęło, ale to wszystko a wszystko pachnęło.

HELENA.

To mi nie dziwno; wielu naszych młodzikow dla tego iedynie w obcych kraiach bywa-

bywaią, żeby się nauczyli własnym gardzić, nie dla tego, żeby tam nabyli wiadomości, z któremi mogliby swoiemu być pożyteczni.

AGATA.

On przeciwnie mówi, że się tu na nim nikt nie zna, że tu iego przymiotów nikt nie umie szacować. Wywiozł różnego rzemiosła ludzi z Paryża, a iescze nikt nie pochwalił, ani iego fryzury, ani iego ekwipażu, ani iego fraczkow.

HELENA.

Dziwno mi, że ieszcze nie znalazł tego rodzaiu pochwał, wszak tu iest dosyć fraczkowych Rycerzow, co całą myśl zaprzątaią podobnemi wynalazkami.

AGATA.

On chce wszystkich celować, mówi: że fryzura powinna być nie zczesana, ale niedbale rozrzucona po głowie, pudru y pomady pułtora funta, y dwie uncye spadać powinny na ramiona, y na plecy z katagonem, żeby każdy, co koło niego przeydzie mógł się usmarować, y tak, iak on nie czysto w wybornym nieporządku

 zna

znaleść się na tych taiemnych wieczornych schadzkach, o których taiemnicach iuż y dziady wiedzą.

HELENA.

Ktoż ci go tak dobrze opisał? bo widzę bez podchlebstwa maluiesz.

AGATA.

Mam ia też swoich przyiacioł, donoszą mi co się dzieie na świecie, między innemi ten Bartłomiey, któremu on się każe nazywać koniecznie *La Flor*, pod surową karą....

HELENA.

Y dla czegoż się ten wyborny Paryżanin dotąd nie dał widzieć.

AGATA.

Jeszcze spoczywa po drodze. Podczaszyna Siostra iego, która także iest pełna wiatrów Paryzkich, namaszcza go różnemi spirytusami, a ten Marquis de Trantquarant, co z nim przyiechał, co raz z większą pogardą o Warszawie mówiąc, samę tylko Podczaszynę znayduie godną być Paryzkiey edycyi, naybardziey mu się iey kley-

kleynoty, y wewnętrzne rozporządzenie szkatułki podobało. Na co Pan Podczaszy trochę krzywo patrzy.

HELENA.

Jak ia nieszczęśliwa, ieżeli móy Oyciec nie będzie chciał czytać w sercu moim, którego skłonienie prawdziwe, dotąd pozor przyiaźni kryię.

SCENA II.

HELENA, AGATA, WIERNICKI.

WIERNICKI.

Sliczna Heleno! zbliża się podobno iuż ta chwila, która losy życia twego ma dopełnić. Wiesz, że Erazm przyiechał z Paryża, widziałem go.

HELENA.

Widziałeś go WaćPan? y cóż ci się zdaie? przyiaźń może mnie oświecić, wszak wiesz WaćPan, iak wiele zdaniu iego lubię wierzyć.

WIERNICKI.

Prawda, że mnie uszczęśliwienie Heleny naywięcey w życiu zatrudnia..... Ale iuż

iuż tak daleko rzeczy zaſzły, powinność przyiaciela milczeć....

HELENA (z urazą.)

Nie poznaię WaćPana, w tey ſpokoyności nad moim loſem. Widzę, mu wſzyſtko iedno, czy ia ſzczęśliwa, czy nieſzczęśliwa będę.

WIERNICKI.

Zle o mnie ſądziſz Pani, wieſz przywiązanie moie, znaſz prawa delikatności, nie mnie ſię radzić powinnaś, kogo maſz uſzczęśliwić.

HELENA.

Ta delikatność równa ſię oziębłości.

WIERNICKI.

Chceſz, żebym za Erazmem mówił koniecznie.

HELENA.

Chcę, żebyś mi WaćPan prawdę powiedział, co myśliſz?

WIERNICKI.

Co do poſtaci, ma doſyć ſzykowności; co do fortuny, mówią, że iego Oyciec był bogaty. Co do przymiotów, o tych ſądzić

nie powinienem, bo te od upodobania zawiſły.

HELENA.

Znaſz mnie WaćPan, y wieſz iakie mnie ſię podobać mogą.

WIERNICKI.

Właśnie dla tego, że cię znam pełna roſtropności Heleno! przekonany ieſtem, że potrafiſz ſama doſkonale oſądzić. Ja, może byłbym nieſprawiedliwym, mam przyczyny; dla których nie dowierzam ſobie.

HELENA.

Ja mam przyczyny, które mnie upewniaią, że nie Erazm uſzczęśliwić mię może.

WIERNICKI.

Czemuż ta wątpliwość?.. ieſt bogaty... w Paryżu był długo, podobne zalety w tym wieku maią poważanie u Dam, będzie umiał bawić, a dziś tego naywięcey ſzukaią.

AGATKA.

Tak, z kilka dni póki ſię nie wygada, a potym będzie nudził powtarzaiąc iedno.

HELENA.

Spodziewałem ſię, że mnie lepiey poznałeś.

WIERNICKI.

Znam cię iuż Heleno! ale daruy mi, że w tey chwili ieſzcze lepiey cię ſpodziewam ſię poznać, y dla tego zoſtawiam tobie ſamey ſądzenie o przyſzłym loſie twoim.

AGATA.

Jegomość idzie.

SCENA III.

HELENA, WIERNICKI, AGATA, STAROSTA.

STAROSTA *(do Wiernickiego.)*

Dobrze, żem tu WaćPana zaſtał, powiedzże mi, czyś widział Erazma? dziwno mi, że ſię dotąd nie pokazuie, iakże go znayduieſz?

WIERNICKI.

Cera doſyć dobra, mówią, że uroſł znacznie od tego czaſu, iak z Polſki wyiechał.

STARO-

STAROSTA.

Grzeczny.... ułożenia pięknego?

WIERNICKI.

Zobaczyſz WMćPan, będzie tu wkrotce.

STAROSTA.

Widzę, że przy Helenie niechceſz nic mówić, póydź zemną na oſobność.

SCENA IV.

HELENA, Y AGATKA.

HELENA.

Nie uwierzyſz, iak mnie delikatność Wiernickiego gniewa, nie można ſię nic dowiedzieć, co myśli, nie poymuię, iak człowiek tak pełen czułości, może być tak boiaźliwy, gdzie mówić trzeba.

AGATKA.

Wſzyſtko mnie ſię zdaie, że on Pani przypadł do ſmaku, radaby, żeby przemówił.

HELENA.

Jeſtem iego przyiaciołka, widzę, że mi prawdziwie dobrze życzy, inſzego celu nie-

niemaiąc, tylko uſzczęśliwienie moie, ale teraz, gdzie naywięcey potrzebuię iego zgadać myśli, on naymniey mówi.

AGATA.

Naprzykład: coby Pani chciała, żeby powiedział.

HELENA.

Ja ſama nie wiem, przyzwyczaiona żyć z nim w tey uſtawiczney poufałości, zdaie mi ſię, że ta chwila, któraby mnie ztak doświadczonym przyiacielem rozłączyła, byłaby dla mnie nie miła.

AGATA.

Nie wiem... może ſię mylę, ale wſzyſtko mi ſię zdaie, że y on tak myśli, a złączywſzy iego myślenie z Pani myśleniem, podobno oboie coś wymyślicie. Czego ſię ieſzcze oboie nie śmiecie ſpodziewać.

HELENA.

Zoſtawiam cię tu moia Agato! póydę do ſiebie, daſz mi znać, ieżeli kto przyidzie... Czuię, że teraz więcey, iak nigdy potrzebuię być ſama z ſobą.

SCENA

SCENA V.

AGATA *ſama.*

Podobno będzie źle około Pana Erazma, y ten woźnica z wielkiemi wąſami, z ſtraſznym bukietem, y ta fryzura uperfumowana, y te fraczki wyborne, nie pomogą. Trafiła koſa na kamień. Helena cale inaczey myśli, iak wiele Dam naſzych... Ale iuż zaręczona... iak ſię z tego wykręcić... podobno ſię tu bez mego przemyſłu nie obeydzie.... Na ſzczęście mamy głowę kobiecą nie dla kſztałtu.

SCENA VI.

AGATA Y LA FLOR.

AGATA.

Jak ſię maſz kochany Bartłomieiu! iużeś wypoczął przecie po drodze? czyś taki pieſzczony, iak Pan?

LA FLOR.

Cicho! cicho! nie nazyway mnie Bartłomieiem, bo tu Pan nie daleko. Onby mnie zabił, gdyby ſłyſzał, że ty wieſz, iż

ia

ia nie Francuz. Nazyway mnie La Flor, uchoway Boże! Bartłomiey.

AGATA.

Cóż to znaczy po Polſku?

LA FLOR.

Kwiatek.

AGATA *(rośmiawſzy ſię mocno.)*

Móy ty kwiatku kochany! powiedzże mi, cóż ten twóy Pan robi. Co to Bartłomieia w kwiatek przemienił.

LA FLOR.

Niech ſię Pani twoia nie dziwuie, że tak pożno wizytę oddaię, bo piękny kawaler przyiechawſzy z drogi, powinien ſię nayprzod w łóżku położyć, chorować trzy dni, dopiero przychodząc do ſił, pokazać ſię świątu.

AGATA.

Nic nam tu po takich kawalerach, co z Paryża chorzy przyieżdżaią.... W Polſzcze trzeba być rzeźwym y zdrowym, kiedy ſię kto myśli żenić.

LA FLOR.

To co inſzego, bo ludzie ieſzcze żyć nie umieią w waſzym kraiu, niech ieno po weſelu, to zobaczyſz, że y twoia Pani będzie zaraz chorowała. Nic tak grubiańſkiego nie maſz, iak zawſze być zdrowym, to lada kmiotka potrafi, ale Dama *de kalite*, całe co inſzego, a w coby ſię Doktorowie obrócili, maią oni rozum, umieią nieznacznie osłabić lekarſtwami, żeby zawſze potrzebnemi byli, bo to dukaty daie.

AGATA.

Z takim zdaniem u moiey Pani nic nie wſkoracie, woli ona być zdrowa, iak modna.... Ale powiedz mi, czy będzie tu twóy Pan, czy nie?

LA FLOR.

Idzie tu zaraz. Ja przyſzedłem ſię dowiedzieć, czy Pani ieſt w domu.... Atoli go iuż ſłychać.

SCENA VII.

ERAZM MARQUIS, LA FLOR, AGATKA.

ERAZM (*krzyczy za Bleytronem.*)

La Flor! La Flor! La Flor! cóż to ieſt pogański ſynu Bartłomiey....

LA FLOR.

Mości Dobrodzieiu!

ERAZM (*pokazawſzy ſię na Teatrum.*)

Po iakiemuż to ſłuchaſz rozkazów hultaiu, czyś w tym dzikim kraiu zapomniał powinności.

LA FLOR.

Y owſzem...- poſłałeś mnie WaćPan. Chciałem ſię wrócić z donieſieniem, że ieſt Bogini.

ERAZM.

Bogini? proſtaku... ty, widzę, nigdy nie potrafiſz pułnocnych kraiów od południowych różnić. Naucz ſię, że to tylko u nas w Paryżu ſą Boginie, ale w tych zimnych Prowincyach zwyczaynie tylko kobiety od potrzeby gwałtowney.

LA

LA FLOR.

Będę pamiętał.

ERAZM

(*bierze Lorynetkę y patrzy na Agatkę.*)

Co to za dziewczyna!

LA FLOR.

To także ieſt od gwałtowney potrzeby... Jeſt to Agatka ſłużąca, y poufała Heleny.

ERAZM (*do Marquiza.*)

La Servante n'eſt pas mal; to dla ciebie przyiacielu będzie, trzeba przecie coś mieć na pogotowiu. (*do Agatki*) Mościa Panno, a można ſię widzieć z Panią?

AGATA.

Trzeba poczekać aż Jegomości pierwey dam znać y ſpytam ſię. (*do ludzi*) Coż to za cudak! (*Agatka odchodzi.*)

ERAZM (*do Marquiza.*)

Elle eſt drolle, śmieſzna dziewczyna.

MARQUIS.

WPan mi mowiłeś, że tu WPana będą na kolanach witać za to, żeś przecie powrocił

wrocił oświecić ten dziki narod, a mnie ſię zdaie, że y ta dziewczyna coś nie bardzo przerażona tym blaſkiem.

ERAZM.

Czyśmy ſię tylko nie pomylili, czy tylko w Warſzawie ieſteśmy. Wſzak ten pokoy coś po ludzku wygląda, zwierciadła duże. *Comment diable?* Stoliki *du boi de Machoni*.. hola *La Flor* biegay mi czym prędzey do domu po Mappę, wſzyſtko mnie ſię widzi, że to nie Warſzawa. Kiedym ztąd odieżdżał, to iak zobaczyli Francuza dobiiali ſię o niego, a teraz iuż od trzech dni ieſtem, a procz moiey Sioſtry (ktora ma guſt) nikt ieſzcze do mnie nie przyiechał. *Marquis! cher Marquis!* podobnośmy zbłądzili w Europie.

MARQUIS.

Je vous demande mille pardóns ſłużyłem y na morzu y na lądzie, nie tak łatwo zbłądzić mogę na ſferze, daię WPanu *ma parole d' honneur*, że to ieſt Warſzawa.

ERAZM.

Marquis! cher Marquis! lepiey ſię pomiarkuymy *car la ſeret fortdrol*, to wſzyſtko co widzę zdaie mi ſię że czary.

MARQUIS.

Niech to między nami zoſtanie, ale WP. ſię przyznam *en ami*, że ia dawno znam Warſzawę, y całą Polſkę. Ja tu znaczną część młodości moiey przeżyłem, ale *incognito*, pod inſzym imieniem, y tytułem.

ERAZM.

Comment diable? WPan byłeś w Polſzcze! iakże mogłeś z temi Sarmatami żyć?

MARQUIS.

Nie trzeba tego przed nikim mowić, żem ia tu był, mam tego wielkie przyczyny... przyczyny polityki naygłębſzey... *Miniſterium* w to wchodziło.

ERAZM.

Co ia, to Warſzawę mało znałem, proſto z Kaliſza ze ſzkoł wyſzedłſzy przywiozł mnie tu Oyciec, miałem może w ten czas czternaście lat, y że grunta iego, laſy, y łąki, łączyły ſię z gruntami Oyca Heleny,

zaręczyli nas y wysłali mnie do Paryża, w tym czasie *mon bon homme de pere est mort*... Wielkiż też to był Sarmata.

MARQUIS.

Jak prędko lasy y łąki złączone były, nic słusznieyszego, że y osoby, nie będzie kłotni o granice, *d'alior un bon Mariage*, ucieszy wszystkich WPana dłużnikow, y mnie dobrego sługę iego, *il faut pousser l' affaire.*

ERAZM.

Teraz nie wiem ieżeli się ieszcze nasze granice łączą, bo iak miarkuię z tego, com wydał w Paryżu, y co ieszcze mam długow, podobno się moie granice znacznie cofnęły.

MARQUIS.

Ale WPan iesteś pewny tego Maryażu.

ERAZM.

Mais..... to zupełnie od moiey łaski zawisło; wiem wiem, że się nigdy niespodziewała bydź tak szczęśliwą, y między nami mowiąc, nie długo się dobrodzieyka ucieszy zemną, byle tylko posag złapać, powrociemy

my *mon cher Marquis!* do naszych Bogin.. Kto tu zna przymioty, y wdzięki wybornego człowieka, pewnie te kontusze?

MARQUIS.

Ostrożnie WPan mow o kontuszach, bo ia widziałem, kiedy tu byłem w Polszcze, że ci Jchmość cale nie lubili żartow... pamiętam ich do tego czasu.

ERAZM.

Ktożby się chciał z niemi bić, oni zaraz z swemi Szablami po grubiańsku do pyska, albo w łeb mierzą. Czyby ia oszalał fryzurę wystawiać na to niebespieczeństwo, a coby powiedziała moia Paryzka Bogini? gdyby mi Katogon, albo ucho, albo nos uciął? Pfe z takiemi ludźmi, nie trzeba się y wdawać.

LA FLOR.

Chyba z daleka o trzydzieści krokow na pistolety, y to skropiwszy plac wodkami pachnącemi, żeby proch nie śmierdział, bo to szkodzi na piersi.

SCENA VIII.

DAWNI y PODCZASZYNA.

PODCZASZYNA.

Coż to WPanowie w pokoiu kompanii, a bez kompanii, czy nie masz Starosty ani Heleny, czy nie wyszli do was ieszcze?

ERAZM.

Posłaliśmy im dać znać, tym czasem bawiemy się z sobą, nie dziwno mi, że się dziewczyna stroi, dawno nie widziała ludzi do rzeczy... ale żal mi strawionego czasu nad gotowalnią... Niech ona się nieboga y nie pokazuie... tu tylko o szkatułę Oyca chodzi, reszta szczegulnie dla oka, wiem, że się biedna dziewczyna zmiesza *en verité* szczerze mowię, że mi iey żal, bo ia dla niey w Polszcze nie myślę osieść. *Marquis* moy przyiaciel wie, co ia mam do czynienia w Paryżu.

PODCZASZYNA.

Temu ia się cale nie dziwuię, że nie lubisz tego kraiu, ia sama ile razy się z obaczę w zwierciedle, to mi żal, że w Polszcze ie-

iestem, co tu po wdziękach, dla kogo się tu męczyć nad gotowalnią *en verité*, gdyby nie z rządu mego męża, dawno by mnie tu nie było.

MARQUIS.

Czyż tak piękna Dama może się dać powodować woli męża? alboż to nie masz sposobow? naprzykład: te kleynoty to są kapitały martwe, można im dać kurrencyą y cyrkulacyą.

PODCZASZYNA.

Dobrą mi WPan daiesz radę, znać człowieka rozumnego.

SCENA IX.

DAWNI AKTOROWIE STAROSTA HELENA y AGATKA.

STAROSTA. (*do Podczaszyny.*)

Moia Pani przepraszam dopiero co dali mi znać, że tu iesteś.

PODCZASZYNA.

Prezentuię WPaństwu mego Brata świeżego gościa z Paryża, y przyiaciela iego *Mr. Le Marquis.*

STAROSTA.

Bardzo się cieszę z powrotu Braciszka.

ERAZM.

Point des Complimens, point des Complimens Siostro kochana, przystąpmy do interessu.

STAROSTA.

Siedźcież mi WPaństwo wszyscy.

ERAZM.

(wyciąga Lorynetkę y patrzy na Helenę.)

Ta Liońska materya, co WPanna masz na sukni, ieszcze takiey nigdzie nie naśladuią, iest to Perszczyzna przerabiana Tureczczyzną.

HELENA.

Mylisz się WPan w Polskiey fabryce robiona.

ERAZM.

Żartuiesz WPanna *Comment diable!* w Polszcze fabryki chyba na smołę.

STAROSTA.

Nie powinno to WPana dziwić, tu ludzie maią takie ręce iak na całym świecie, od zachęcenia dowcipu wszystko zawisło.

ERAZM. *(patrzy na pas Starosty.)*

A iuż też co ten pas to zapewne francuzki.

STAROSTA.

W Słucku robiony.

ERAZM.

Jmc Pan Starosta żartobliwy, alboż w Słucku są Francuzi.

PODCZASZYNA.

Mnieysza o fabryki przystąpmy do rzeczy większey wagi, czas upływa.

ERAZM.

Moia Siostra chce o inney fabryce mówić *(obróciwszy się do Heleny.)* WPanna się domyślasz o iakiey *vous m'antandes, bien Mademoiselle!* ha! ha! ha! ha! ha!

Starosta *(z niespokoynością.)*

Wybacz mi WPan, ieżeli go przestrzegam, że w Polszcze Damy zacne szanuią, y tym tonem w uczciwych społecznościach nie mowią proszę nie zapominać, że tu są przytomne... Już obiadowa godzina, ieżeli WPaństwo chcecie u mnie zieść, poydźmy do Sali, supa na stole.

Marquis.

Ma foi! tego nie trzeba odmawiać, poydźmy.

Podczaszyna.

Przy obiedzie będziemy mowić z sobą kochany Starosto.

Erazm.

Ale ia ieszcze mego dekoktu nie skończyłem; boię się żeby mi to nie szkodziło, przy obiedzie czy wolno mi będzie wstać, bo to iest *laxativè.*

Starosta.

Gospodarzem w domu moim iestem, nie wiem co na to odpowiedzieć.

Mar-

Marquis.

Ten ieden raz nie regularności nie będzie WPanu szkodził, *Alons*, *Alons*, nie trzeba odmawiać dobrego obiadu dla dekoktu. Co inszego gdyby do WPana kto na obiad przyszedł, tobyś miał gładki pozor wymowić się, że nie iadasz obiadow dla lekarstwa, y zbyłbyś się gościa, ale u ludzi zawsze trzeba przyiąć tak miłą ofiarę o tey godzinie.

Erazm.

Coż mam czynić *par douceur de laracter* będę iadł.

SCENA X.

AGATKA LA FLOR.

La Flor.

Coż mowisz o moim Panu! czy nie superfin?

Agatka.

Moy miły Bartłomieiu żałuię cię, że y tobie łeb się zakręcił, wiele o swoim Panu rozumiesz, a iam takiego pułgłowka ieszcze

w ży

w życiu nie widziała, pierwſzy raz we trzy lata Pannę widzi, y nie wie, co do niey przemowić. To ieſt dla mnie co nowego taki gach...

LA FLOR.

Słuchayże Agatko! oſtatni raz cię przeſtrzegam.... *Primo:* Że ia nie Bartłomiey tylko *La Flor*.... *Secundo:* Że moy Pan ieżeli ieſt pułgłowek, to Paryzki, ale nie Polſki... *Tertio:* Że waſza powinność uczyć ſię od nas, co macie robić w głębokim milczeniu, nie przegwizdywać, mowię ci, że oſtatni raz przeſtrzegam, bo będzieſz tego żałowała.

AGATA.

Ha! ha! ha! ha! y z ciebie widzę śliczny ptak, nie mogliście ſię lepiey dobrać, prawdziwie nie było po co kilkaſet mil iechać. Takiey grzeczności bylibyście, y w Smorgoniu na byli, gdzie Niedźwiedzie polityki uczą.

LA FLOR.

Słuchayże! przyrzekam ci na moy honor, że nie będzieſz miała tego ſzczęścia bydź moią żoną... A iam w życiu moim takiey

takiey zuchwałey kobiety nie widział, my z Paryża przyiechali umyślnie pocztą dniem y nocą, żeby te kobiety z miłoſierdzia pobrać za Zony, a one ſię z nas śmieią.

AGATA *(przegwizduiąc.)*

Ha! ha! ha! Nie uwierzyſz, iak mnie ta Paryzka cholera bawi *(zasłania oczy chuſtką.)* Co ia za nieſzczęśliwa, opuſzczaſz mnie nie wdzięczniku! *(udaie płacz.)* ach! ach! ach! kwiateczku! kochaneczku! zdrayco!

LA FLOR.

Chyba że ſię tak upokorzyſz, to co inſzego... nie płacz Agatko! nie płacz, uczynię ci tę łaſkę, wezmę cię za żonę, mam litość nad twoim loſem.

AGATA *(śmieiąc ſię.)*

Ha! ha! ha! Y ty uwierzyłeś, że ia cię żałuię, iuż też dopełniłeś miary bezczelności, rozumiałam że przynaymniey tyle będzieſz miał rozumu, y poznaſz ſię, że z ciebie żartuię.

LA FLOR *(z miną tryumfuiącą.)*

Znam ia ſię na żartach y na prawdzie, ale powiedz mi, twoia Pani czy też płacze? bo

bo iakaś ſmutna, może ona ieſzcze wątpi o ſwoim ſzczęściu, może ona nie dowierza ſobie, żeby tak modny Kawaler, iak Pan Erazm ſchylił po nią rękę, niech mnie tylko proſi, ia iey powiem wſzyſtkie iego zamyſły. Ja ieſtem naypierwſzym konfidentem mego Pana.

AGATA.

Słyſzyſz Panie kwiateczku! ieżeli moia Pani płacze, ieżeli ią widziałeś ſmutną, iak twego Pana zobaczyła, to nie dla tego, żeby ſię o utratę iego ſerca bała, ale dla tego, że za takiego dziwaka zaręczona, boi ſię, żeby Oyciec nie wymuſzał na niey dotrzymania ſłowa. Wie iego dawne przyrzeczenie, a ieſzcze iey nikt o twoim Panie ſłowa dobrego nie powiedział, wſzyſcy ſię na to zgadzaią, że taki pułgłowek, iakiego tu ieſzcze nie widziano.

LA FLOR.

Nie mogę ia temu wierzyć, co moy Pan trzy lata w Paryżu ſiedział, y tey Paraſiance ſię nie podoba? To nie może byc żadną miarą, nie takie to przed nami drzały, a kiedy

kiedy ſię cedry waliły, coż ſię dziać powinno z tą ſłabą trzciną.

AGATA.

O toż ieżeli chceſz doświadczyć, czy to prawda, namow ſwego Pana, żeby odſtąpił wſzyſtkiego, zobaczyſz iak mu ślicznie podziękuiemy. Tak my go kochamy.

LA FLOR.

Dałaż by ci Pani, żeby ſię o twoim oświadczeniu dowiedziała.

AGATA.

Ręczę ci, żebym iey nie mogła przyiemnieyſzey nowiny przynieść, iak tę, że ſię twoy Pan rozgniewał y odiechał, bo nam tu wcale nic po takich waryatach, mamy coś grzecznieyſzego, y obyczaynieyſzego w robocie.

LA FLOR.

Coż? pewnie iaki Sarmata z wąſami.

AGATA.

Wcale chłopiec hoży, nie taki grubian, iak twoy Paryzki galant, nie zakłada na tym chęci podobania ſię Damom, żeby ſię ro

rozwalać po kanapach, y brydzić trzy potrzy o całym rodzaiu ludzkim, ale ma ſerce czułe, pełen grzeczności bez przyſady, y prawdziwie doswiadczony Przyiaciel Pani, ſkromność y boiaźliwość ieſzcze go dotąd nie ośmieliły, żeby za ſobą mowił, ale iak ſię ośmieli, podobno będzie niebeſpieczny, y pokaże wam drogę na powrot do Paryża z kwitkiem.

LA FLOR.

Ciekawy ieſtem widzieć tego Jegomości.

AGATA.

Zobaczycie go może prędzey, niż ſię ſpodziewacie, możecie w cześnie pakować waſze kufry w drogę... Byway zdrow.

SCENA XI.

LA FLOR SAM.

Toby była iednakowo diabelna ſprawa, żebyśmy dniem y nocą z Paryża lecieli y nic nie wſkorali, było by to y myſzka zdech, y z owych rzeczy nic... Fraſzka żona, bo moy Pan w Paryżu ma dosyć znaiomości w takich mieyſcach, gdzie ſłubow

bow nie trzeba, y nigdzie nie bywał tylko na takich aſſamblach, nikogo nie znał tylko tych, co podobnie z nim na owe aſſamble uczęſzczali, dla tego też nie ma tylko poufałych przyiacioł, bo w tych domach wſzyſtko bez naymnieyſzey ſubiekcyi. Nawet ia, co nie ieſtem tylko Bartłomiey z domu, a przez zaſługi *La Flor*, chociażem tam ſłowa nie umiał mowić, bylem pokazał pieniążki tak mi byli radzi iak y Panu... Więc iuż o żonę fraſzka, ale co ſię tycze poſagu to wcale co inſzego.... Wexlikow mamy dość na ſobie, iuż podobno Pańſkie dobra poſzły na zaſtaw, nie zoſtaie inſza nadzieia tylko poſag przyſzłey naſzey Zony. Muſzę ia Panu głowę kłocić, żeby on o tym myślał, chodzi mi o moy honor nayprzod, a potym o Pańſki.

KONIEC AKTU I.

AKT II.

SCENA I.

WIERNICKI.

(*Sam bierze krzesło y siada.*)

Jeszcze, widzę, u stołu siedzą poczekam, ieżeli mnie nie myli przekonanie o zdaniu Heleny, Erazm podobno iey nie przypadnie do myśli, ale nie dowierzałem, bo widziałem rożne przykłady... Ta płeć iak iest pełna wdziękow, tak pełna słabości, prożność często w prowadza ią w błędy, ktore choć rozum gani, słabszy iest, iak uprzedzenie.... Ale Helena nie tak myśli, pełna to iest dobrych przymiotow Panna, pełna rozsądku. Czemuż ia tak boiaźliwy iestem, że żadney nie śmiem sobie czynić nadziei! .... Gdyby Helena chciała czytać w oczach moich.... Ale coż za prożne mniemanie.... Helena iuż zaręczona. (*Tu Wiernicki zamyślony wspiera się na ręce.*)

SCE-

SCENA II.

AGATA, y WIERNICKI.

AGATA.

A Pan to nie u stołu?

WIENICKI.

Już ia po obiedzie. Czekam na Starostę, coż tu słychać Agato? w krotce Pani pożegna się z domem Oyca, y znami przyiaciołmi, dziś to podobno będzie ułożone, y dokończone. Słyszałem, że Erazm iuż porobił przygotowania do obrządkow potrzebne, ma intercyzę, y indult w kieszeni.

AGATA.

Co Erazm ułożył, nie iest to ieszcze naypewnieysze, więcey tu od ułożenia Pani moiey zawisło, a ona ieszcze nic dla niego nie ułożyła, y ieżeli co ułożyła dla kogo, to wiem dla kogo, ale nie powiem... bobyś się WćPan domyślił.

WIERNICKI.

Moia Agato! y cożby to szkodziło choćbym się domyślił, wiem, że nikogo bar-

dziey.

dziey uſzczęśliwienie Heleny nie zatrudnia iak mnie, wiesz iak dawno ieſtem iey, przyiacielem, powiedz, czy nie iakie inſze myśli?...

AGATA.

Nie kazano mi nic mowić, ale mnie tak język świerżbi, tak bym ſię rada wygadać, że gdybym nie przewidywała....

WIERNICKI.

Jeżeli to ieſt taiemnica, ktorey wiedzieć nie wolno bez uchybienia względow, ktore winienem Helenie, to niechcę, żebyś mi mowiła.

AGATA.

O toż znowu delikatność nieſzczęśliwa! iabym tak rada, żebyś mnie WćPan przymuſił.... a WćPan iuż znowu odſtępuiesz... ia nie wytrzymam... iuż ſię y moia Pani ſkarży na zbytnią boiaźliwosć WćPana... trzeba to iaśniey mowić y czynić.

WIERNICKI.

Coż może boiaźliwosć moia Pani twoiey ſzkodzić? Uſzanowanie, ktorem tey płci winien ogranicza pragnienie nayżywsze...

wſze... gdy bym go ſłuchał iuż bym dawno u nog śliczney Heleny wyznał, co czuię

AGATA.

A coż ſię ſtało? Wſzak to WćPan przecię przemowił, mocno mnie to cieſzy, zaraz biegnę moiey Pani powiedzieć.

WIERNICKI.

Stoy, ſtoy, coż ia takiego powiedziałem, żebyś mnie zaraz ogadywała.

AGATA.

Już ci ſię WćPan nie możesz tego zaprzeć, coś powiedział, że pragniesz, y czuiesz... Coś to więcey znaczy iak przyiaźń? znamy ſię natym.

WIERNICKI.

Czyż mogłbym ia ſię ośmielić inſzy ſentyment oświadczyć Helenie... Tak dawno zaręczona... Nie Agato! nie czyń mi, krzywdy... wiem iak powinienem ſzanować przeznaczenie Heleny, doſyć dla mnie, kiedy pozwoli być ſwoim przyiacielem, innemu los ſzczęśliwſzy obiecany.

AGATA.

Kiedy WćPan będziesz zawſze takim boiaźliwym, to ani WćPan będziesz wiedział, czego moia Pani chce, ani ona czego WaćPan chcesz, za coż to WaćPan tak byłeś śmiały nim Erazm przyiechał, naypoufaley zwierzała ſię WaćPanu Helena wſzyſtkich myśli ſwoich, y WaćPan wzaiemnie nic przed nią nie miałeś taynego.

WIERNICKI.

Poki ſama wemnie przyiaźń panowała, rozumiałem, że ſię nigdy nierozłączę z twoią Panią, ten miły zwyczay nie trwożył mnie, że kiedyś ta chwila przyidzie, a gdy przyſzła, to przekonanie ieſt mi nieznośne, śmiałość przyiaźni odmieniła ſię w boiaźliwość iakiegoś nowego ſentymentu, ktory, że mi iuż nadziei dać nie może, rozpaczą napełnia ſerce moie.

AGATA.

Więc tedy znowu ſię WaćPan zdradziłeś, y przyznaiesz, że coś więcey czuiesz iak przyiaźń, wiem, wiem, znam to co WaćPan czuiesz, tego mi właśnie było potrze-

trzeba, iuż też teraz nie wytrzymam poydę do moiey Pani.

WIERNICKI.

Agato! uczyń nad tym uwagę, że przez ſwoię prędkość, ſtracisz mi u Heleny tę ufność, ktorą zawsze we mnie miała, a toby było dopełnieniem nieſzczęścia mego.

AGATA.

Wielka rzecz, że na iaką chwilę oboie będziecie niememi, takto bywa zwyczaynie, gdy przychodzi orzech zgryść. Ale ręczę wam, że ſię oboie domyślicie, wzaiemnie czego chcecie. Ma dowcip ten ślepy Bożek. *odchodzi.*

SCENA III.

WIERNICKI (*ſam.*)

O toż ia nie nieſzczęśliwy teraz, gdyby mi ſię Helena pokazała, to nie wiem, czyby mi nie przyſzło w ziemię ſię zakopać, nie poznaię ſam ſiebie. Co mi ſię ſtało. Ale od tey chwili, iak oczy moie ſtaraią ſię dać iey poznać, że więcey iak przyiaźń, dla niey czuię, ſerce y umyſł, tak ſą peł-

ne

ne boiaźni, że nie wiem ſam, na ktorym świecie ieſtem... O Heleno! Cóż ſię zemną dopiero dziać będzie, gdy cię iuż w cudzych ręku zobaczę... może ty będzięsz ſię śmiała znędznego ſtanu mego... Wiele oſob płci twoiey ſtaraią ſię uwieść ſerce, a gdy iuż maią prawo wierzyć, że panuią, przegwizduią ſłabość, ktorey ſą przyczyną, y to zamięſzanie co naypiękniey ich tryumf zdobi, ta wątpliwość, ta boiaźliwość zrodzona z delikatności, częſto ieſt celem ich pośmiewiſka, albo igrzyſkiem okazałey, prożności... Ale ty Heleno! nie tak myślisz, zgrzeſzyłem, żem mogł, na chwilę pomieścić ciebie w liczbie lekkomyślnych tyranek, w ktorych prożność zaſtępuie czułość, znam cię y ufam, że ſię ſama niemi brzydzisz, y ieżeli twoie wdzięki, twoie przymioty zniewalaią, umiesz oſtudzić dotkliwość.... Ach nieſtetysz! Czemuż iey iuż dzielić nie możesz?

SCENA IV.

STAROSTA, HELENA, PODCZASZYNA, ERAZM, MARQUIS, WIERNICKI, y AGATA.

STAROSTA.

(*zamyślony idzie do Wiernickiego*)

Jak ſię masz przyiacielu? potrzebny ieſteś ſpokoyności moiey (*obraca ſię do gości.*)

Siedźcież WMćPańſtwo proſzę (*mowi cicho z Wiernickim.*)

ERAZM.

(*z Lorynetką do Heleny zbliżywſzy ſię pokazuiąc na Wiernickiego.*)

Ktoż to ten ieſt Sarmata w Oryentalnym ſtroiu?

HELENA.

Jeſt to przyiaciel Oyca mego, bardzo zacny człowiek winſzowałabym WMćPanu, żebyś mogł zaſłużyć iego ſzacunek. Stroy ten nie powinienby WaćPana dziwić, ieſt kraiowy.

PODCZASZYNA.

A iuż ci moia przyiaciołko! ten kontuszowy ſtroy, pfe! ia nie wiem iak ci ſię to może podobać, dwa ſzlafroki ieden na drugi włoży, głowę ogoli, w botach zawſze, to nie podobno, żeby nie śmierdział taki człowiek.... Coby to Fruncuzi mowili Braciſzku, żeby takiego ſarmatę widzieli.

HELENA.

Rozumiem, że y tam oświeceni ludzie byliby zgorſzeni, gdyby kto pośmiewiſko z właſnego kraiu robił, owſzem podobno zgodziliby ſię zemną, że odmiana ſtroiow wiele ſię przyczyniała do odmiany ducha narodowego, ktory daleko pożytecznieyſzy był dla Polſki, iak mody Paryzkie. Co ſię zaś tycze czyſtości, y ochędoſtwa ta w każdym ſtroiu być może, y ieſt iak prętko kto dba o ſiebie, a kto nie dbały, każdy może rownie oſzpecić, zdaie mi ſię, że to ieſt w każdym kraiu zdanie rozſądnych ludzi.

PODCZASZYNA.

A ktożby też chciał z temi rozſądnemi ludźmi żyć, nie masz nic nudnieyſzego na świe-

świecie. Ja lubię tych bufonow, trzpiotow, bo ſię to człowiek uśmieie, a na świecie nic zdrowſzego nie masz na ſpazmy; naprzykład nasz *Marquis*, iakiż on nieoſzacowany, zaraz znać, że Cudzoziemieć, po każdym umie podrzeźniać, co chce to z ſwoiey figury zrobi, raz Arlekina, drugi raz Pantalona, taki bufon, iakiego ciężko znaleść, aż mnie iuż boki bolą od śmiechu od tego czáſu, iak on tu ieſt.

MARQUIS.

Czynisz mi WaćPani honor nad ſpodziewanie moie, teraz trzeba ſię chwytać przyiemnego zwyczaiu w ſpołecznościach, gdyby człowiek nie bufonował, nie przegwizdywał, y nie oczerniał iednych przed drugiemi, toby mu rzadko gdzie byli radzi, bądź WaćPani pewna, że zawſze połowa ludzi o drugiey mowi, ale rzadko dobrze, bo ſię to mało komu podoba, a podobać ſię trzeba, kto nie ma inſzey intraty.

ERAZM. (*do Heleny.*)

Ten człowiek ma rozum iak Anioł *Com un Ange.*

POD-

PODCZASZYNA.
(*z Marquisem mowi cicho.*)

HELENA (*z pogardą.*)

Widzę, że to WaćPan znayduiesz, y cale się temu nie dziwuię.

ERAZM.

Ale piękna Damo pomowmy ieno *serieusement.* Coś Jegomość u stołu był w złym humorze, a ia nie mam czasu zwłoczyć naszego ślubu, z rozkazu Doktorow muszę wyieżdżać w krotce do Spa, bardzo mało mam zdrowia, a w tym kraiu powietrze takie ciężkie.

HELENA.

Mogłeś tu WaćPan wcale nie przyieżdżać, iuż byłeś blisko Spa.

ERAZM.

Między nami mowiąc to; nie chciałem WaćPanny dłużey martwić, y możesz temu wierzyć, że szczegulnie dla niey ziechałem, radbym uczynił iakieś rozporządzenie, te zaręczyny zenowały mnie w moich ułożeniach, pewna Kontesa wdowa z rzewnemi łzami na to płakała, pokazałbym Wać-

WaćPannie iey portret, ale boię się, żebyś się nie gniewała, *elle est charmante.*

HELENA.

Nie godzi się, żebyś WaćPan tak zacną Damę martwił, życzyłabym powrocić do niey. Portretu widzieć nie chcę, wiem że WaćPanu nie zleciła tego, żebyś go pokazywał, przekonana iestem o guście iego.

ERAZM.

Między nami mowiąc ma ieden defekt, nie iest bogata, poki mogłem, tom się znią dzielił, ale na koniec potrzebuiąc ratunku spieszyłem się do tego kraiu.

HELENA.

Ta przyczyna iest podchlebna dla przyiacioł WaćPana.

ERAZM (*patrzy na Zegarek.*)

Mafoi Marquis iuż trzecia. Poczta dziś odchodzi mam wiele do pisania. Wiesz do kogo. Cożby Sylwia mowiła, gdyby odemnie wiadomości niei miała, niechcę przerywać Silanki (*obraca się do Starosty*) *Monsenior*, przyidę tu w krotce y skończemy, proszę mieć wszystko w gotowości.

STA-

STAROSTA.

Tak y ia ſię ſpodziewam, że ſkończemy.

PODCZASZYNA.

Y ia poydę zwami, Staroſtynku wkrotce tu powrociemy, y ia też mam pewny romanſik w robocie, te tuteyſze grube umyſły nie poymuią; co to ieſt kochać ſię w imaginacyi, tu zaraz trzeba ciała y duſzy.

SCENA V.

STAROSTA, HELENA, WIERNICKI, y AGATA.

STAROSTA.

(*patrząc na Helenę łzy ma w oczach.*)

Heleno przykro mi pytać ſię o to, w czym iuż znaiąc ciebie przewiduię odpowiedz, ale ta chwila oświecić mnie powinna. Czy ieſtem ſzczęśliwy Oyciec? powiedz mi iak myślisz, wiem, że to wſzyſtko, co widziałaś, co ſłyſzałaś oświeciło twoię zdanie, niechcę ci być tyranem, zapomniy nawet, żem Oyciec, mow zemną iak z przyiacielem.

HE-

HELENA.

Zawſze doznawałam w radach, y zdaniach Oyca mego, że im przyiaźń iedynie była powodem. Im więcey zaś powolności, y dobroci dałeś mi poznać, tym więcey włożyłeś na mnie obowiązkow, żebym tak iedynie myślała y czyniła, iak twoia ſpokoyność, y twoie uſzczęśliwienie wyciąga.

STAROSTA.

Moia Corko kochana! daiąc ci wychowanie miałem za cel uſzczęśliwienie twoie iſtotne, nie to pozorne, ktore częſto nudy, y cierpienia w płaſzczyk rozkoſzy ſtroi, tak myślisz iak powinna myśleć płec twoia chcąc dopełnić woli przyrodzenia, masz tę czułość, y cnoty, ktore cię uczynią dobrą matką, dobrą żoną, y dobrą przyiaciołką, tak iak iuż ieſteś dobrą corką, nic mi przydać nie zoſtaie, tylko żebyś była ſzczęśliwą y to ieſt dziś naydotkliwſzym zatrudnieniem moim.

HELENA.

Niech mię roztropność Oyca nie odſtępuie w tę chwilę, w ktorą naywięcey od niey-

los

los całego życia mego zawiſł. Nie ſpuſzczam ſię ſama na ſiebie ani ſkłonności moiey, ani wſtrętom wierzę, widzę, że y te związki, ktore ſerce obiera, choć ſię ſłodko zaczynaią ſmutnie czę ſto kończą, y te do ktorych okoliczności niewolą, nie zawſze ſą nieſzczęśliwe, ta nie pewność zaſtanawia rozmyślność moię y więcey ufam roztropności Oyca iak ſama ſobie.

STAROSTA.

Wiem ia, że wiele oſob płci twoiey łatwo odważaią ſię na obrzydłe nawet ſercu ſluby, bo w mężu nie widzą. Tylko uwolniciela z tego ſtanu, w ktorym mniemaią, że wiele odmowić muſzą przywiedzeniom płochości y prożności, ale twoie ſerce Heleno! potrzebuie przyiaciela, zbyt czułe zbyt prawdziwe, żeby mogło ſamo ſiebie omamić, y ieżeli przyobieca ſlubem wiarę przeciw właſnemu ſkłonieniu, nie będzie ſzukało pociechy w zapomnieniu powinności, ale uſtawiczną woyną między w ſtrętem y uwagą ſamo ſię niſzczyć będzie. Zebym ia widział w tobie podobieńſtwo do tych ſerc iakie codziennie widzę, w ktorych pragnienie wolności zaſtępuie

puie czułość, nie byłbym trudnym w wyborze, bo wiem, że podobne umyſły naymniey ſię zatrudniaią mężem, y ledwo nie przyſięgaią ſekretnie przy ślubach, że nayprzod ſame ſiebie, a potym wſzyſtkich męſzczyźń kochać będą procz męża. Niedziwuię ſię temu, bo napoione z młodości płochym zdaniem, nie na dobre żony, ale na lekkomyślne gładyſzki wychowane. Ale ty Heleno! wiem, że inaczey myślisz... Wiernicki ieſt twoy przyiaciel, y moy, masz w zdaniach iego ufność niech on ci da radę. Zoſtawiam was, bo muſzę wyiechać, nie mieycie na nic względu, ieżeli co obiecałem, to tym końcem, żebyś była ſzczęśliwa, gdzie nie przewiduię tego, obowiązkow nie mam za obowiązki.

SCENA VI.

WIERNICKI, HELENA, Y AGATA
w końcu Teatrum.

HELENA.

(*patrzy długo na Wiernickiego zamyślona*)

Co WaćPan powiesz na to, co mi poradzisz?

Wiernicki. (*zaambaraſſowany.*)

Heleno… śliczna Heleno!… nie wiem, nie umiem radzić.

Agata. (*naſtronie.*)

Tu czekam tych Jchciow. Jeżeli też teraz nie przemowi ten delikatny amant, to iuż nie mam nadziei o nim.

Helena.

Jakże, nie mam ſię ſpodziewać żadney od WaćPana rady, ufność Oyca mego zawiedziona będzie… może oziębłość WaćPana, oboiętnie widzi, iaki mnie los czeka, może oto nie dbasz.

Wiernicki.

Ja o to niedbam?… Ja o to niedbam? a ktoż więcey w życiu pragnąć może; żebyś była ſzczęśliwą Pani! ale gdzież ſzukać ſerca godnego ciebie.

Helena.

Nie rozumiey WaćPan, żeby wemnie głowa zaſtępowała ſerce, nie nabiiam myśli temi nie podobnemi iſtnościami, ktoremi częſto romanſowe opiſowania przewraca-

caią rozſądek płci naſzey… wiem, że tak doſkonałego człowieka nie masz, ktoryby nie miał ſłabości, y wierz mi WaćPan, że ktoby w oczach moich chciał tę doſkonałość udawać, źlebym onim rozumiała, człowieka w człowieku odmienić nie można, a kto ſię chce okazać doſkonalſzym nad ludzkość, oſzukuie ſam ſiebie y tych, ktorym układność za prawdę udaie. Więcey poważam w ludziach tę powolność, ktora umie błędy y ſłabości darować, iak tę ſurowość, ktora przez ſkrytą pod maſką cnoty pychę nayniewinnieyſzych potępia.

Agata.

Oy co to, to prawda, że naſze Panie nie ktore ułożą ſobie czaſem w myśli, coś nie podobnego do ludzi, y do tego mniemania płodu całe życie natężona imaginacya wzdycha, a ſerce zimne iak lod tylko ſię w głowie pali, prożność ſzanuiąc ſię ſama, alembikuie miłość właſną tym przekonaniem, że tylko tacy ludzie, iakich nie maſz na świecie, warci ie adorować. Gdzie to tych Tyrſyſow, tych Dafniſow ſzukać.

Wiernicki (*podługim zamyśleniu.*)

Wszystko, co słyszę z ust Heleny, pokazuie mi tę moc umysłu, ktory się tak doskonale umiał oprzeć dziwactwom uprzedzenia, ale coż ztąd wnosić mogę, więc śliczna Heleno! kiedy umiesz przepuszczać błędy, potrafisz żyć szczęśliwie z każdym mężem, sama sobie iesteś naydoskonalszą radą, kiedy masz tę powolność.

Helena.

Nie trzeba z iedney ostateczności przechodzić w drugą. Co inszego iest nie szukać przez natężenie samey myśli tey doskonałości w ludziach, ktorey iako ludzie mieć nie mogą, a co innego uczynić rożność między przymiotami y cnotami, y między podłością y dziwactwem, bo wszystkie śrzodki, ktore miłość własna poddaie na ulżenie cierpieniu są zbyt nie bespieczne dla płci naszey, żeby się nad niemi nie zastanowić.

Wiernicki.

Coż mi zostaie dodać do tak pełnych rostropności uwag, szanować y milczeć przyiaźń

iaźń każe, przewiduię uszczęśliwienie tego, komu się serce Heleny obiecuie, miłeby mi było to przewidzenie, gdyby nie groziło utratą łatwego iey widzenia.... Ach iak się boię tey chwili... Śliczna Heleno!.. Wkrotce przysięgniesz, że odstąpisz domu, dobrego Oyca, ktory twoią iedynie szczęśliwością chce ucieszyć starość swoię... Coż się dziać będzie w ten czas z przyiacielem, ktory do tak słodkiey przyzwyczaiony społeczności? Czyż wierzysz, że będzie naynieszczęśliwszym z ludzi?

Helena.

Jeżeli WPanu tak przykre zemną rozstanie, coż mi radzisz, żebym dogodziła uszczęśliwieniu, gotowa iestem słuchać, wszak to mam zlecenie od Oyca. Powiedz mi WPan swoie zdanie.

Wernicki (*z ambarassem.*)

Ja iuż nic nie mowię, byle tylko Helena była szczęśliwa, niech o mnie zapomni.

Agata (*do ludzi.*)

Otoż go masz, iuż ci się znowu zląkł, iaka ta moia Pani nieszczęśliwa, iednego Aman-

Amanta ma, co ſobie nazbyt ufa, y iuż ſię zupełnie rozgościł, a drugi ſię wſzyſtko boi y wątpi. Jak go tu ośmielić, żeby ſię nie cofał uſtawicznie.

Helena *(z urazą.)*

Widzę, że ſię od WPana nie mogę prawdziwego iego zdania dowiedzieć, coraz więcey przekonana ieſtem, że mu los moy oboiętny, daruy mi to WPan, że muſzę iść do mego gabinetu... Jak ia nieſzczęśliwa ieſtem!

SCENA VII.

WIERNICKI AGATKA.

Agata *(wznoſząc ramiona.)*

Ną y coż? miałeś WPan tak dobrą porę y ſkończyłeś na niczym. WPan widzę chceſz, żeby ſię Damy o WPana ſtarały. Oyciec, Panna daią WPanu poznać tyle ſzacunku, y iak prędko iuż cię na prowadzą na to, żebyś wyznał, co czuieſz, to ſię WPan cofaſz, iakże tu kiedy można z WPanem przyiść do końca, żeby ſię WPan iuż albo do tego Paryża przeiechał, albo co, to byś był

był śmielſzy. Delikatność, delikatność! Toć to ieſt delikatność, żeby nie dopuścić, aby Helena była nieſzczęśliwą. A czas upływa, ktoż temu będzie winien? WMCPan.

Wiernicki.

Ja żebym był winien nieſzczęściu Heleny?.... Ach gubiſz mnie tym podeyrzeniem, a ktoż więcey pragnie odemnie żeby ſzczęśliwą była.

Agata.

Ale coż potym pragnieniu, kiedy WMC. Pan nic nie czyniſz. To pokątne wzdychanie nic iey nie pomoże. Tu trzeba mowić iaśnie.

Wiernicki.

Kiedy ia nie śmiem ſię ſpodziewać, żeby zemną ſzczęśliwą była, ta Panna warta naywiękſzych loſow, a ia ani bogactw takich nie mam, ktoreby mogły dogadzać iey chęciom, ieżeli na wielkim świecie żyć będzie chciała; ani w żadnych oſobiſtych zaſługach nie mogę ufać, że zaſtąpią prawo, ktore ma do więkſzych loſow.

AGATA.

Wszystko to są piękne słowa, ale tu iuż nie o słowa chodzi, powiedz mi WPan, chcesz się WMCPan żenić, albo nie? Z WPanem, widzę, trzeba iść gwałtownemi sposobami, bo się WMCPan niczego sam nie domyślisz... Powiedz mi WMCPan zaraz tak, albo nie, resztę ia biorę na siebie, y mogę WMCPana nauczyć takiego sposobu, że nic nie przemowiwszy oświadczysz swoie zamysły Helenie, y dowiesz się, co na to powie.

WIERNICKI.

Ach Agato naywiększą mi ucynisz łaskę, ale czyż to może bydź, żeby ia nic nie mowił, a ieżeli trzeba mowic za sobą aby słowo, to ia się nigdy nie odważę.

AGATA.

Słuchay WMCPan co powiem, napisz WMCPan do Heleny, oświadcz myśli swoie, y odday mnie list, ia upatrzę czas, kiedy sama z Oycem będzie, WMCPan przy drzwiach słuchać będziesz, ia list oddam usłyszysz, co powiedzą, ieżeli ia krząknę, to tylko wpaday y dziękuy.

WIERNICKI.

Uczynię, co mi radzisz... Ale zmiłuy się, żebym ia iuż nic więcey nie miał do mowienia tylko dziękować. Idę pisać.

SCENA VIII.

AGATA (*sama.*)

Przecież to bieda z temi nie śmiałemi ludźmi, niewiedzieć iak ich przymusić, żeby szczęśliwemi byli, ale wolę iednak takich, iak tych Jchmościow śmiałkow zbyt dobrze o sobie rozumieiących, co ieszcze nie znaią kobiety, a iuż oczerniaią y udaią, że ich adoruie, nie oto się staraią, żeby szczęśliwi byli, tylko żeby tak o nich rozumiano, ale znamy iuż tych Prałatow, chcąc zawsze oszukiwać, sami się oszukaią, bo choćby prawdę czasem przez zapomienie mowili, to im nikt nie uwierzy.

SCENA IX.

PODCZASZY y AGATA,

PODCZASZY.

Moia Panno kochana! wſzak tu byli u was na obiedzie ci moi Paryżanie, ledwo mi ſię głowa z niemi nie zawroci. Y moia Pani żona także w głowie ſiu wſzyſtko po Paryzku.

AGATA.

Byli tu wſzyſcy na obiedzie, y ta Pani, co to w iey głowie ſiu... Jak ſam Pan powiada.

PODCZASZY.

Y cożʔ muſieli oni tu nabaiać, bo ia w życiu nie widziałem takich pułgłowkow, y moia Pani żona rownie z niemi. Ja niewiem po co ci młodzi ludzie tyle wywożą z kraiu pieniędzy za granice, żeby tylko takiego ſowizdrzalſtwa nabrali, y innych ieſzcze przy ſobie pſuli... Co tu ztąd za pożytek dla kraiu, czy nie lepiey Oyciec radził, kiedy chciał Erazma do Kancellaryi aplikowaćʔ byłby iuż wyſzedł na Subdelegata.

AGA-

AGATA.

Prawda, że wielu pułgłowkami powraca odſiedziawſzy ſwoy czas w Paryżu, ale y też wiele zacnych, co ſię nie popſuli.

PODCZASZY.

Ale to co inſzego, ci co z pożytkiem powracaią to znać, że z rozſądkiem wyiachali, ale kiedy wyślą młodego chłopca, co ieſzcze ſwego kraiu nie zna, dadzą mu Guwernera Cudzoziemca, co go nayprzod uczy, iak ma ſwoy kray nienawidzieć, iak ma nim gardzić, y iak ma ſtarać ſię nabrać Cudzozinmſkich zwyczaiow, y w właſney oyczyznie tak myśleć iak Cudzoziemiec, na wſzyſtko pozwalać, byle ſię dobrze mieć. Coż to za pożytek z takich ludziʔ brzydko pfe, ſromota, to też tacy y obywatele.

AGATA.

Widzę, że Pan dobrze zna Szwagra ſwego Jmc Pana Erazma, bo go ślicznie maluie, iak bym go widziała, kiedy WMCPana ſłyſzę.

POD-

Podczaszy.

Ale moia Agatko! nie powiaday tam tego wſzyſtkiego twoiey Pani, bo na coż ią martwić, co ſię ſtało rozſtać ſię nie może.

Agatka.

Y może ſię ieſzcze rozſtać, ieſzcze ſię nic nie ſtało eſſencyonalnego.

Podczaszy.

Prawda, że ſię czaſem z kobierca rozchodzą, ale teraz Panny mężow potrzebuią, żeby były wolnieyſzemi... Alboż to y moia Jeymość dla czego inſzego za mnie poſzła. Aſſamblow ſię to chciało, ſtroiow, komedyow, ſpacerow. Onać prawda moie imię noſi, nazywaią ią moią żoną, ale ia iey tam cały dzień nie widzę, choć czaſem przyidę do niey, to iak ſię Jmościni przyiaciele zaczną zchodzić, to dla mnie y krzeſła nie maſz, iednak iey muſzę przyznać, że goſpodyni dobra, bardzo mało mnie koſztuie, daię iey penſyą doſyć ſzczupłą, ona ſię ſtroi za to, gdyby Senatorka, ia nie wiem iak to ona robi, ale czaſem iedna iey ſuknia więcey koſztuie, niż cała roczna penſya, a lubi często ſuknie odmieniać... Już co goſpo-

ſpodyni, to goſpodyni, rożne handelki prowadzi y zarabia.

Agata.

Wiele teraz Dam wyuczyło ſię głownie takiego goſpodarſtwa, co to za pociecha dla mężow, y pomoc w intereſſach.

Podczaszy.

Ale, ale, moia Agatko! ten moy Paryżanin proſił mnie bardzo, żebym mu ſię wyſtarał o iakiego Poetę, żeby mu napiſał Madrygał dla twoiey Pani, mowi, że w Paryżu taki zwyczay, kiedy ſię kto kocha, że bez tego nie może wſtąpić w ſtan małżeńſki. Czy nie znaſz ty moia Agatko! iakiego z tych Wierſzopiſow? tylko żeby był nie drogi, trzeba, żeby nam napiſał puł arkuſza Madrygałow drobnym charakterem na godzinę ſzoſtą, będzie miał za to taler bity a naywięcey dzieſięć złotych.

Agata.

Nie znam ia tych Jchmościow boię ich ſię, ſłyſzałam, że często żołć za dowcip biorą.

SCE-

SCENA X.

ERAZM, MARQUIS, PODCZASZYNA, PODCZASZY AGATA, y LA FLOR.

PODCZASZYNA.

Czy nie maſz nikogo w domu?

AGATA.

Nie maſz Jegomości *(odchodzi.)*

PODCZASZYNA.

Możemy ſię tym czaſem ſami zabawić, aż przyidą.

ERAZM.

Zupełnie ich uwalniam od przytomności, iednakże przyznam ſię, że Helena niczego na żonę, będzie to dobre kobieciſko, nie będzie głowy gryzła, będzie nudzić kochaneczka, bo ia nie myślę iey wozić po świecie, cożby ia w Spa, albo w Paryżu z tą Paraſianką robił? ale przy dobrym poſagu nic mi nie ſzkodzi, że iey dam moie imię co to dla niey za ſzczęśliwość będzie! Założyłbym ſię, że dziewczyna drży ze ſtra-

ſtrachu, żeby iey to nie uchybiło. *Neſpa Marquis?*

MARQUIS.

Czyż można o tym wątpić, ale nie odſtępuymy od naſzego proiektu, trzeba. żeby y Madam Podczaſzyna z nami woiażowała.

PODCZASZYNA *(do Męża.)*

Słyſzyſz kochaneczku! co to oni o mnie radzą, żebyś ty Mężulu był grzeczny toby to wſzyſtko było dobrze; ale będzieſz, boś ty ieſt nie oſzacowany. To na ranę przyłożyć takiego męża *(do Marquiza) Eſt un bonne bete.*

PODCZASZY.

O cóż to chodzi moia Panno? ia ile możności lubię dogadzać WPani woli, ale ſpodziewam ſię, że nie będzieſz ze mnie wyciągać rzeczy nie przyzwoitych.

MARQUIS.

Monſieur Podczaſzy! oto WPana żonka chce woiażować dla zdrowia do *Spa* nayprzod, a potym dla utwierdzenia ſił do Paryża.

POD-

PODCZASZY.

Ey moy Dobrodzieiu! moia żona bardzo była zdrowa, nimeście tu przyiechali, ſpodziwam ſię, że nie będzie chciała ſzukać wiatru po świecie. Ja tu ieſtem przyniey, y przynaymniey w ten czas ią widzę, kiedy iey pieniędzy potrzeba, niechcę, żeby ſię odemnie oddalała.

PODCZASZYNA.

Prawda mężulu, ale żebyś ty był grzeczny, tobyś ty wſzędzie mogł bydź przymnie. Coby cię to koſztowało przebrać ſię po francuzku? Co mam brać kogo do uſługi, to bym ciebie wzięła z ſobą dla menażu, pilnował byś domu, żeby kto czego nie ukradł, a iabym świat ieſzcze raz widziała. Ten zacny *Marquis* oświadcza mi ſię, że mi wſzędzie będzie przewodnikiem.

PODCZASZY.

Ja, żebym ſię po francuzku przebrał? Ja?

PODCZASZYNA.

Ty, moy Michaſiu! Ty.

PODCZASZY.

A moia Jaguſiu! coż ci ſię to ſtało w głowę? czy może to być kiedy? Cożby moi ſąſiedzi mowili? dyć by mnie Xiądz Proboſzcz wyśmiał, a Oyciec Gwardyan ani by mi ſię na oczy nie dał pokazać.

ERAZM.

Ma foi niech on y w tym ſtroiu na oſtatek iedzie, byle tylko wziął dobrze napakowaną ſzkatułę.

PODCZASZYNA.

Ale iakże by ſię mogł nazywać moim mężem, gdyby po polſku chodził? Coby na to mowił Paryż?

MARQUIS.

Madame a raiſon, trzeba Jegomości po francuzku przebrać, poślemy po krawca, hola *La Flor!* biegay po krawca... A czy ſą tu krawcy, coby umieli francuzkie ſuknie robić?

PODCZASZY.

Słyſzy Waść Panie *Marquis!* nauczę ia tu Waści tych żarcikow, ale ſię Waść nie zaſtanowiſz aż za oknem.... Jeżeli ia zno-

ſzę dziwactwa moiey żony, to takich Konſyliarzow, iak Waść, wcale nie potrzebuię. Diabli Waści wiedzą, zkąd Waść przyſzedł... Nauczę ia tu Waści po polſku tańcować.

MARQUIS.

Monſieur eſt faché. Je me retire. (*odchodzi.*)

PODCZASZYNA.

A moy Michaſiu! cożeś to zrobił wſzak to wielkiey familii człowiek, a tyś go tak uraził, on mi ſię przyznał, że dwudzieſtu czterech Papieżow było z iego familii, a Kardynałow bez liczby.

PODCZASZY.

A ia ſzlachcic Polſki, ieżeli ſobie ma za krzywdę, żem go złaiał za iego zuchwałość, to choć ſtary ieſtem dam z ſiebie ſprawę.

ERAZM.

Mon Dieu! comme il eſt brutal.

PODCZASZYNA.

Poydę ia ułagodzić tego *Markwiza*, ktoż wie, czy on nie po ſzpadę poſzedł.

ERAZM.

Nie, nie, ten człowiek umie żyć!

PODCZASZY.

Będę ia wiedział, kto to ieſt ten waſz Pan *Marquis*, on tak dobrze po polſku mowi muſiał on tu iuż bywać; niewiem może ſię mylę, ale mi ſię wſzyſtko widzi, żem ia go tu iuż widział pod marſzałkowſką wartą, za to, że oſzukiwał w karty. (*do żony.*) WPani proſzę żebyśmi ſię z nim więcey nie wdawała. Ja zacnych y obyczaynych cudzoziemcow ſzanuię, ale takich połgłowkow w moim Domu nie potrzebuię, bo ci czynią krzywdę ſłuſznym ludziom ſwego kraiu. (*odchodzi.*)

SCENA XI.

ERAZM, PODCZASZYNA, Y LA FLOR.

ERAZM.

A on ſię cale widzę gniewa, to śmieſzna rzecz.

PODCZASZYNA.

Y cale nie ieſt żartobliwy, kiedy ſię rozgniewa, nie trzeba, żeby mu ſię *Marquis*

pokazywał na oczy, to Pąniątko nie dobre.

ERAZM.

Kiedyż ten miły Starosta przyidzie, on rozumie, że każdy ma czas tak iak on, włoczy się nie wiedzieć gdzie, a iabym rad skończył te korowody, ktore mnie nudzą nad wyrażenie, przyznay, że tu żyć żadną miarą nie można z temi sarmatami.

PODCZASZYNA.

Nie nabiiay mi tym głowy, widzę, że ia z tego mego dzikiego Podczaszego nic nie zrobię, gdyby mnie łaskawe Nieba, Wdowim stanem obdarzyły... Kochany Podczaszynku, umielibyśmy użyć tych twoich zbiorow, nie pleśniałyby pieniądze, miałyby cyrkulacyą.

ERAZM.

Trzeba było poradzić się w tym *Markwiza*, on ma rozum, ktoż wie, czy by cię nie nauczył, iak sobie masz postąpić, namowiłby Doktorow, toby mężowi głowę nabili, że potrzebuiesz spaskich kąpieli, y musiałby na to pozwolić *Est un habil homm.*

PODCZASZYNA.

Tak bym rada z wami iechała do Paryża, że ledwobym się na wszystko nie odważyła y żałuię, żem z *Markwizem* o tym nie mowiła, teraz nie wiedzieć gdzie go znaydę, bo te grube wyrazy mego męża odraziły go na iaki czas odemnie.

ERAZM.

Byle tylko te wyrazy nie miały żadney konsekwencyi, to on na to nie będzie uważał, umie ten człowiek żyć, trzeba się poznać na nim, ale tu u was nie umieią szanować zacznych ludzi.

PODCZASZYNA.

Adieu Braciszku do obaczenia, muszę poyść do siebie na chwilę, powrocę zaraz, napiszę do *Markwiza*, żeby tu przyszedł bo ia muszę koniecznie do Paryża iechać. *Coute, qui Coute* iuż dałam *Markwizowi* moie kleynoty, żeby mi ie kazał po paryzku przerobić.

SCENA XII.

ERAZM LA FLOR.

ERAZM.

Masz tedy wszystko w gotowości, bo my wyieżdżamy wkrotce do Paryża, czy wiesz otym?

LA FLOR.

Proiekt iest piękny, ale czy ma iuż Pan pieniądze? Dłużnicy czekaią zawitania w dom nasz nie oszacowaney żonki Pańskiey, a osobliwie posagu... A Pan podobno iuż zapomniał, że się żeni, kiedy tak nagle chce do Paryża wyieżdżać.

ERAZM.

Smieszny iesteś, po to umyślnie zieżdżałem, y miałem zapomnieć. Ale nie trzeba, żeby moi dłużnicy wiedzieli o moim wyieździe.

LA FLOR.

Jać im nie powiem, kiedy Pan nie każe, ale, że oni iuż coś przeczuwaią, wszystkie drzwi Pańskie w obleżeniu, boię się, żeby nie zaczęli szturmować, nie wiem, kto im poszepnął, że Panna Helena, iuż za WPana nie poydzie, żeś iey się WPan nie podobał... Ja wiem, że to nie podobne rzeczy, bo komużby się taki Pan nie podobał... Ale mocno o tym szemraią.

ERAZM.

Smieszno mi z tych biednych ludzi.

LA FLOR.

Ale kiedy mam prawdę powiedzieć Panu, to y Agata przez ten szacunek, ktory ma dla mnie, przyznała mi się, że iey Pani nie bardzo tego życzy.

ERAZM.

Co ty gadasz?... Drzy dziewczyna; żebyś umiał czytać, tobym ci pokazał list, co do mnie pisała, zaklina mnie iak węża, żebym iak nayprędzey uszczęśliwił ią moią ręką.

LA FLOR.

Jak żałuię, że nie umiem dobrze czytać, ten list wiele by mi pomogł do spokoyności, bo tu y o moię skorę chodzi, iak dłużnicy nie będą zapłaceni, ale przecież ia potrafię chociaż wyślabizować, niech Pan

 będzie

będzie łaſkaw na ſługę ſwego, niech ia ten kochany liſtek zobaczę... niech go przynaymniey ucałuię.

ERAZM (*ſzuka po kieſzeniach.*)

Nie mam go przy ſobie... Jużem go podarł, boiąc ſię, żeby kochana Konteſſa nie zobaczyła, że iey ſię moie ſerce przeniewierzyło dla Parafianki... Oczy dla wſzyſtkich, ſerce tylko dla niey.

LA FLOR.

To Pan nie powie w Paryżu, że ſię ożenił.

ERAZM.

Niech Pan Bog broni, y ty wara, nie mow nic, bobyś mnie zgubił.

LA FLOR.

Jak ia mam mowić, kiedy ia Pana nie widziałem u żadney Konteſſy, tylko po takich mieyſcach, gdzie ſą niżſze urzędniczki.

ERAZM.

Proſtak ieſteś, co cię to koſztuie nazwać Konteſſą, ktorąkolwiek z tych, co u mnie wieczerzą ziadły, co oni tu w tym kraiu zna-

znaią? ona by tu uſzła za Senatorkę, wſzyſtko od imaginacyi zawiſło.

LA FLOR.

Może to być, ale to nie ieſt imaginacya, żeby zapłacić, co kto winien. To ieſt ſzczera prawda, a ieżeli Pan będzie wiatry puſzczał, to utraci dobrą partyą y Poſag, dłużnicy nie będą ſię imaginacyą uſpakaiać. Agata mi mowiła, że iuż Helena wie o tey iakieyś konteſſie, co iey na świecie nie masz, y że cale nie chce iey odbierać naſzego ſerca, byłoby to bardzo źle.

ERAZM

Jeſzcze ci raz mowię, że ſam nie wieſz co gadasz, ſpoyrzyi na te oczy, na tę nogę, na moy ekwipaż na moy fraczek, ktoraby była nie przyiaciołka ſama ſobie, żeby takiego chłopca opuściła, wiekami tylko podobni ſię ludzie rodzą, nie ieſt to poſpolita glina, ſuperfin to Barteczku ſuperfin.

LA FLOR.

Wſzyſtko to ieſt dobrze, ieżeli groſze będą, ale ieżeli ten ſuperfin goły ſię zoſtanie, to ſpełźnie diabelnie.

 ERAZM.

Erazm (*patrzy na Zegarek.*)

Ey cóż u diabła? ia śię widzę nie doczekam tego teścia, iuż wieczor nie daleko poydę śię przeyść trośzkę po ulicach, niech też te biedne śarmatki z obaczą, iak to po Paryzku wyśmienicie ludzie chodzą, z obaczysz, co to za hałaśu w całym mieście narobi, iaki taki będzie śię pytał: Co to za Pan? co to za Francuz? a ia z pogardą pozieraiąc będę sobie świstał, y podskakiwał. Ot! tak po Paryzku! ot tak po Francuzku. (*odchodzi.*)

SCENA XIII.

LA FLOR. (*sam*)

Ot tak po Paryzku! ot tak po Francuzku! kiedy ia miarkuię, to ten moy Pan iest kawał waryata, on śię ma za coś osobliwego, a tu pełno takich ptakow iak on, bardzo śię boię, żeby nie sprawdziła Agata, co mi przepowiedziała, śpieszy śię do Paryża iak na naywiększe rozkoszy, a ia nie widziałem, żeby przez cały czas gdzie przebywał, tylko (*tu sobie palec kładzie na usta.*) Nie powiem bo mnie wstyd, śliczna to Familiyka, kiedy ia uważam iak siostrzyczka, tak y braciszek, ieszcze sobie przybrali tego szulera, ktorego Podczaszy na strászył, na co im cudzych kraiow? bez tego ieżli śię Pan moy nie ożeni z Heleną w cudzych kraiach będzie, bo iakom śię dowiedział to iuż wszystko stracił... Poydę ia pakować kiedy kazał... ale ieżeli ten maryaż nie doydzie, to ia wymowię śię z kompanii woiażuiących; o skorę mi chodzi... A to cale nie byłoby po Francuzku, gdyby mi dłużnicy mego Pana, grzbiet sprofanowali.

KONIEC AKTU II.

AKT III.

AKT III.

SCENA I.

STAROSTA, HELENA.

STAROSTA.

Heleno! czegoż się mogę spodziewać z rozmowy waszey z Wiernickim? wszak ci oświadczyłem pragnienie moie, żebyś była szczęśliwą, wiem, że tak dobry twoy przyiaciel nie może inaczey radzić; chwila nadchodzi, w ktorą przemowić ostatnie słowa trzeba, lub cofnąć te, ktore (ieżeli nie mogą cię uszczęśliwić) nie obowiązuią do niczego.

HELENA.

Z Wiernickiego rady nie iestem oświecona, nie wiem, co ma za przyczynę, ale od tego czasu, iak Erazm powrocił, milczenie składa na delikatność, y nic się dowiedzieć nie można.

STAROSTA.

A byliż tu w moiey niebytności od Erazma?

HELENA.

Byli wszyscy, ale ia nie kazałam o sobie mowić, niechciałam w nieprzytomności...

STAROSTA.

Owszem wolałbym, żebyś widziała Erazma w moiey nieprzytomności, ia cale nie wiem iak o twoim losie sądzić, y wierz mi, że ieżeli sama sobie nie obierzesz według myśli stanu, ia się na nic odważyć nie mogę, zbyt iestem twoim przyiacielem, żeby mię wszystko nie zastanawiało, bo znam twoy sposob myślenia, trzeba mi iednak obiawić zdanie twoie, z tą ufnością, ktorą koniecznie mieć powinnaś w oycu przyiacielu.

HELENA.

Jeżeli mnie czynisz Panią mego zdania Oycze kochany! wystawiasz młodość moię na błąd, ktorego naprawić nie można, wiesz, że tam gdzie nadzieia traci prawa, rozpacz czuwa, wolę zostać się w tym stanie,

nie, w ktorym Oycu memu mogę bydź zdatną y pomyślnieyſzym cieſzyć ſię przewidzeniem przynaymniey za Erazma wcale iść niechcę... chyba, że mi każesz.

STAROSTA.

Chyba, że ia każę ci kochana corko?... zkądże to o mnie rozumienie, czyż mnie nieznasz? czyż masz Prawo wątpić oprzywiązaniu moim? Ale właśnie takiey pragnąłem odpowiedzi, nie mogłem przewidywać bez wzdrygania loſu Heleny, gdyby w tak mało zrodzone dla niey doſtała ſię ręce.

HELENA.

Jak mi daiesz ſłodkie dowody przyiáźni kochany Oycze! gdybym wiedziała, że nie będziesz trudnił, żadnego odtąd nieczyniłabym kroku, pozwol żyć z ſobą, lub mi wybierz takiego męża, ktoryby mnie nie oddalał od tego miłego przywyknienia.

STAROSTA.

Moia przyiaciołko, chcąc ci naywiękſze czynić życzenie nie mogę nadto żebyś tak była ſzczęśliwą żoną y Matką iak ia ieſtem ſzczęśliwym Oycem z tobą, to życzenie wſzy-

wſzyſtko w ſobie zamyka, co może całe życie uczynić rozkoſzą, ale pomyślmy, żeby ſię napaści y natręctwa pozbyć, cierpię na to, że obietnicy moiey chodź iuż zmarłemu nie mogę dotrzymać przyiacielowi, ale zbyt mi miły los corki moiey, a Pan Erazm niech mi wybaczy, całe nie ieſt taki, iak ſię ſpodziewałem.

HELENA.

Jeżeli naymnieyſzy zarzut czyni ſobie z tego, delikatność Oyca mego niech mi każe bydź ofiarą; ale niech będzie przekonany że ta iedynie uwaga nakłonić mnie może.

STAROSTA.

Patrzayże Heleno! iak mnie ty mało znasz, czyż godzi ſię tak rozumieć, że ia co w życiu przenoſić mogę nad corki moiey ſzczęśliwość, żeby iednak ſkończyć bez przykrości, napiſzmy liſt do Podczaſzyny, niech ona iako była ſwatą odpowie imieniem naſzym, a my oboie wyiedziemy tym czaſem na kilka dni z Warſzawy y wſzyſtko ſię przyſtoynie ſkończy.

HE-

HELENA.

Wſzyſtko co każesz miło mi ieſt uczynic, iak ia ſzczęśliwa! żem ſię urodziła tak dobrego Oyca corką, przyiaźń zaſtępuie władzą, ktorą ma nademną y że do niczego nie przymuſza, wſzyſtko gotowa ieſtem czynić chcąc zaſłużyć iego ſzacunek.

STAROSTA.

Więc podźmy piſać (*woła.*) Agata! Agata.

SCENA II.

HELENA, STAROSTA, y AGATA.

AGATA. (*wchodzi.*)

Mości Dobrodzieiu!

STAROSTA

Moia Agato bądźże tu WPanna, ieżeli kto przyidzie, to powiesz, że ieſtem zatrudniony, chyba ieżeli Pan Wiernicki, taki przyiaciel może każdego czaſu wniść, potym powiesz moim ludziom, żeby byli w gotowości, bo na kilka dni wyiadę z Warſzawy, co WPanna, muſisz ſię zoſtać chociaż Helena zemną poiedzie, bo mi potrzebna ieſteś

ieſteś bardzo do pewney roboty, o ktorą rozumiem, że ſię nie będziesz gniewał.

AGATA.

Co Pan rozkaże, uczynię.

STAROSTA.

Ale ieżeli teraz kto przyidzie w czaſie, gdy będziemy w Gabinecie, to nic niewſpominay o wyieździe.

SCENA III.

AGATA (*ſama.*)

Coś tu ieſt, ale niewiem co, bez mała w tym Gabinecie niemyślą o kwitku z przyiaźni dla wyśmienitego Paryżanina, to nie ieſt ſmaczny kawałek dla człowieka, a tak dobrze o ſobie rozumie, wſzyſtko iak powiada, przed nim drzało, a Helena ma tę zuchwałość oprzeć ſię y niedbać o takiego Rycerza, co na to powiedzą Konteſſy Paryzkie, ktore on tuzinami rachuie, ale podobno y tam nie był ſzczęśliwſzy, choć tak udaie zwycięzcę, znaią ſię tam na ludziach.

SCENA IV.

WIERNICKI, y AGATA.

WIERNICKI.

(*oglądaiąc się w koło, ieżeli nikogo nie masz.*)

Chwała Bogu! żem cię samę zastał moia Panno! odważyłem się na to, coś mi poradziła, oto masz list, ale zmiłuy się, czy to nie urazi Heleny, że ia sobie tak postępuię? żebyś wiedziała niespokoyność moię.

AGATA.

Aktoż by iey niewidział, wszak WćPana widziałam nieraz mowiącego z moią Panią.

WIERNICKI (*z niespokoynością.*)

Ale, ale, *appropos* moia Panno, oddayże mi ieszcze ten list, zdaiemi się, że tam trzeba coś odmienić... podobno nazbyt śmiałe wyrażenie, wspomiałem o nadziei, a ia żadney niemam... Proszę cię, day mi ten list, poydę go ieszcze inaczey przepisać, bom się spieszył y więcey sobie pozwoliłem niż przystało.

AGATA.

Nie masz WaćPan czasu do tracenia, bo Helena y z Oycem dziś ieszcze ma wyiechać na kilka dni na Wieś.

WIERNICKI.

O źle... to zapewne tam ślub będzie dla uniknienia subiekcyi... iak ia nieszczęśliwy!.. to iuż zapewne Erazm będzie mężem Heleny... wszak ia mowiłem, ale sam sobie winien iestem dosyć mnie pytała... ta nieszczęśliwa nieśmiałość zgubiła mnie... na coż iuż mam y ten list pisać, zaniosę go w osobność moię y tam nad smutnym losem sam z sobą rozmyślać będę.

AGATA.

O toż masz, iuż ci znowu rozpacz, co to za nieszczęście kiedy kto tak prędki dowierzenia troskow, do ktorych ani podobieństwa nie masz, prawdziwie iuż mi się uprzykrzyło cieszyć WaćPana, bo sobie wszystko przeciwnie w głowie układasz, ostatni raz mowię, day mi WaćPan ten list, bo iak mnie WaćPan rozgniewasz, to na zawsze...

WIERNICKI.

Przynaymiey pozwol, żebym go poprawił.

AGATA.

Masz WaćPan papier y kałamarz poprawiayże ſobie, a prętko. (*Wiernicki ſiada u ſtolika y piſze.*)

SCENA V.

WIERNICKI, LA FLOR, y AGATA.

LA FLOR.

(*nie widząc Wiernickiego.*)

Jak ſię masz Agatko, powiedź mi, twoy Pan y Pani czy powrocili do domu?

AGATA.

Nie masz.

LA FLOR.

Jak to nie masz? przecię twoia Pani piſała do mego Pana, zaklinaiąc go, żeby tu przyſzedł, y żeby ią wywabił z tych nudow, ktore ma w domu Oycowſkim.

AGATA.

Moia Pani do twego Pana piſała.... Moia Pani?

LA FLOR.

Twoia Pani, Helena.

AGATA.

Y widziałeś ten liſt?

LA FLOR.

Chciał mi go Pan pokazać, ale że ia niebardzo umiem czytać, odłożyłem to naprzyſzły czas, iak ſię trochę lepiey przeuczę.

AGATA.

Wybacz kwiateczku, ale ia temu niewierzę, y cale niewierzę, bo ia znam moię Panią y wiem iak myśli o Panu Erazmie. (*Cicho do La Flora mowi.*)

WIERNICKI. (*do ludzi.*)

O toż masz! wierzże tu kobietom, czy mogłem ia ſię ſpodziewać, żeby Helena, ta pełna cnot y rozſądku Helena do takiego trzpiota piſała, y ieſzcze z takiemi prożbami, y na coż ia mam ten liſt piſać, będzie czynić pośmiewiſko z moiey ſłabości, bę-

dzie przegwizdywać moię czułość, na co mnie się było radzić, kiedy tak łatwo mogła się rozmyślić... Ach ia nieszczęśliwy! nadzieia wprowadziła mnie w słodki błąd, iuż ośmieliłem się ufać, że mnie Helena szacuie... Heleno czyż y ty zwodzisz tak przywiązanego przyiaciela? za co nie było zemną mowić otwarcie? ten przypadek odkrył mi taiemnicę, ktorey się naywięcey lękałem.

LA FLOR. (*do Agaty.*)

Moia przyiaciołko, iak to będzie, kiedy się moy Pan z twoią Panią ożeni, podobnoby nayskładniey było, żeby y sługa z sługą.

AGATA.

Ja temu nie wierzę, żeby moia Pani za twego Pana poszła, ani temu, żeby sługa za sługę, choć ci się zdaie, że to iest nayskładniey, mnie się zdaie, żeby to było cale nie do rzeczy.

LA FLOR.

Jak ty żartobliwa!

AGATA.

Możesz temu wierzyć, że w tym żarcie iest więcey, iak połowa prawdy.

LA FLOR.

Ale iuż ci ten list postaremu wiele znaczy.

AGATA.

Niewidziałeś go, a to, co twoy Pan mowi, często się z prawdą miia.

LA FLOR.

(*patrząc na Wiernickiego ktory...*)

Ktoż to tam siedzi przy stoliku?

AGATA.

Może, nie znasz, to się obeydzie bez tego, żebyś wiedział.

LA FLOR.

Ale bo mi przeszkadza, oy gdyby go tu nie było! doznałabyś, co to iest paryżanin, czy mi go tu diabli nadali, właśnie miałem szczerą ochotę Agatkę, upewnić, że ią kocham.

AGATA.

Moy ty paryżaninie! choćby tu nikogo nie było tylko ściany, to cale się takiego Rycerza nie boię, y wiem czego warte takie odgrażania, cale nie iesteś niebespieczny kwiateczku.

LA FLOR.

Co, co, co? przysięgam, że niewytrzymam, masz szczęście, że tu iest ktoś, muszę sam siebie respektować ale nie chce dłużey wystawiać ciebie na niebespieczeństwo, powiedź mi, o ktorey godzinie Pan będzie w domu, żebyście iuż powiedzieli, co myślicie, to bym y ia wiedział czego się trzymać.

AGATA.

Ja niewiem, o ktorey Pan będzie w domu, ale to wiem, że nam nie tak pilno wiedzić, co wy myślicie, iak wam. Co my myślemy;... długow w Paryżu nie mamy.

LA FLOR.

Przyidę ia tu z Panem w krotce, ale ieżeli ieszcze was nie będzie w domu, to kwita z przyiaźni Agatko (*odchodzi.*)

SCE-

SCENA VI.

WIERNICKI y AGATA.

WIERNICKI. (*zamyślony.*)

Y coż na to mowisz?

AGATA.

List czy iuż gotowy daway WPan.

WIERNICKI.

Ba y coż iuż po moim liście, czyś nie słyszała moia przyiaciołko! że Helena do Erazma pisała.

AGATA.

Cożem słyszała? że wietrznik, oszukuie swego lokaia, chcąc, żeby on oszukiwał dłużnikow nadzieiami, ia mam temu wierzyć? Nie spodziewałam się nigdy, żebyś WPan tak mało znał Panią moię, ponieważ WPan niechcesz listu oddać, zaniosę iey tę nowinkę o WPanu, że tak dobrze o niey rozumiesz, y o iey charakterze, czyż to pierwszy samochwał chlubi się szczęściem, ktorego ani wart, ani mieć może. Czyż naypierwszy trzpiot, co będzie szarpał sławę WPana przyiaciołki, tak łatwo znaydzie

wia-

wiarę u WPana, chwała Bogu, że wiem iak ſłaby grunt ma przyiaźń WPana, idę zaraz do moiey Pani.

WIERNICKI.

Stoy, ſtoy! co czyniſz? zgubiſz mnie, zgubiſz mnie, nierozumiey, żebym ſię ośmielił iaką płochą myśl przypuścić o Helenie, ſzanuię ią, y dałbym ſobie pierwey życie odebrać, nim bym uwierzył, że Helena może iaki krok uczynić podeyrzany, ieżeli przez nieufność w zaſługach moich wybluźniłem, gotowem go...

AGATA.

Nic tu po tych wſzyſtkich wywoływaniach, ia WPanu chciałam uczynić przyſługę, a WPan zawſze znayduieſz ſpoſoby ſam ſiebie dręczyć y unikać od uſzczęśliwienia, chcę wierzyć, żeś to WPan przez prędkość uczynił, y oſtatni raz pytam ſię, czy daſz WPan ten liſt, czy nie?

WIERNICKI.

Otoż go maſz, moia Agato! w ręku twoich ieſt ſzczęśliwość, lub śmierć moia.

AGA-

AGATA.

Będę ia wiedziała, co z tym czynić, ale nie boię ſię o WPana... Nie umrzeſz.

SCENA VII.

WIERNICKI, AGATA y PODCZASZY.

PODCZASZY.

A czy nie był tu ten Pan mniemany *Marquis* co to z Erazmem przyiechał, nie mowiłem ia, żem ia tego hultaia widział pod Marſzałkowſką wartą.

AGATA.

Nie był, albo coż ſię ſtało?

PODCZASZY.

Ten łotr, iuż dawniey był w Polſzcze ſłużył za lokaia, okradł Pana y uciekł, zaiechał do Paryża, tam ſię pokazał z pieniędzmi, zaraz go nazwali *Markiwizem*, on też ſobie uwierzył, że *Marquis*, w tę nadzieię ſzulerował. Zgrał wielu młodych ludzi y ztamtąd go wypędzono. Moy Pan Erazm przywiozł go tu y ten infamis, bezczelny chciał znowu udawać wielkiego człeka.

Mo-

Moiey żony kleynoty zabrał niby do przerobienia. Jnſtygator Marſzałkowſki go poznał, przypomniał mu dawną przyiaźń w kozie, y gdzieś zginął tak, że go nie mogę znaleść.

AGATA.

Sliczny *Marquis*, co ſię to tych łotrow namnożyło! ſzczęściem, że Urząd pilny nie da im ſię rozpościerać.

WIERNICKI.

Dziwno mi, że tak mało był znany od Pana Erazma.

PODCZASZY.

U Pana Erazma w głowie ſiu, iuż tak między nami mowiąc. On ieſt moiey żony brat, ale ia będę bardzo żałował Heleny, ieżeli za takiego pułgłowka poydzie.

AGATA.

Nie będzieſz iey WPan żałował, ia w tym.

PODCZASZY.

Muſzę rozeſłać po traktach, żeby mi tego łotra złapać. (*odchodzi.*)

AGATA (*do Wiernickiego.*)

A co WPan mowiſz? y to dobry kawałek do naſzey Hiſtoryi.

WIERNICKI.

Ja ieſzcze y tak nie ufam.

AGATA.

Słyſzę, że Jegomość z Heleną idzie ſchoway ſię WPan za drzwi tylko prędko, a ſłuchay.

SCENA VIII.

STAROSTA HELENA, Y AGATA.

STAROSTA.

Agato! właśnie mi dziś trzeba ſprawności y rozumu WPanny, mam ci powierzyć intereſs twoiey Pani nie odchodź, (*do Heleny.*) Więc tedy kochana Heleno! iuż zupełnie namyślona ieſteś, żebym ten liſt oddać kazał.

HELENA.

Czyż Ociec moy może ieſzcze wątpić. (*Agata daie znak ręką Helenie, że chce z nią coś cicho mowić.*)

HELENA.

Czegoż potrzebuieſz? nie rozumiey, że mam co taynego przed Oycem moim, mow, czego potrzebuieſz.

AGATA (*pokazuiąc liſt z daleka.*)

Ale bo to ieſt bardzo ſekretny.

HELENA.

Ktoż może do mnie takie taiemnice piſać, żeby o nich moy Oyciec nie wiedział? pokaż.

STAROSTA.

Ale moia Heleno! nie czyń ſobie przykrości może ten liſt potrzebuie, żebyś ſama o nim wiedziała, może, iaki ubogi wſtydliwy tobie ſię chce zwierzyć nędzy, nie oddalay ſpoſobności pomoc nieſzczęśliwemu, znaią iak myśliſz, y czynią ci honor, że ſię do ciebie udaią.

AGATA.

Właśnieś WPan Dobrodziey zgadł, ieſt to liſt od iednego człowieka, ktory potrzebuie ratunku, y iak ſię dowieſz kto, przyznaſz, że wart, aby mu nie odmawiać.

HELENA.

Dayże mi czym prędzey ten liſt.

AGATA.

Dobra naſza kiedy iuż odpieczentowała.

STAROSTA. (*do Agaty.*)

Czy był tu kto w czaſie, gdyśmy piſali?

AGATA.

Był tu Pan Podczaſzy, ktory ſię ſkarzył, że ten *Marquis* wziął iego żony kleynoty do przerobienia ſwoim guſtem, y nie może ſię o niego dopytać, podobno zemknął.

STAROSTA.

(*poſtrzegłſzy, że Helena zbladła.*)

Coż ci Heleno, czyś nie ſłaba?

HELENA.

Nie ſłaba, ale co czytam, ieſt nad ſpodziewanie moie, wiem, że to Oyca mego rownie zemną zdziwi.

STAROSTA (*odbieraiący liſt.*)

Ale moia Corko kochana! boię ſię, żeby ci to przykrości nieczyniło, wieſz, że Oyciec ieſt twoy przyiaciel y niechce...

HELENA.

Poznasz Oycze z tego liſtu, że oddaiąc mu go w ręce, tak poſtępuię iak z przyiacielem.

Starosta *(czyta liſt.)*

Nie miałem nigdy doſyć śmiałości *(mowi do Heleny.)* moia Corko kochana! muſiſz lepiey odemnie znać tę rękę, czytay Heleno.

Helena *(bierze z nieśmiałością.)*

Nie miałem nigdy doſyć śmiałości ufać, że mogę wyznać Helenie, co czuię, przyiaźń y przyzwyczaienie do uſtawicznego życia z nią, zaſłaniały tę chwilę, w ktorą tak miłą ſpołeczność utracić miałem, zbliżyła ſię ta chwila, trzeba wybrać między rozpaczą y nadzieią. Oſądź Heleno! ieżeli znaiome ci ſerce warto ciebie y pozwol mu ufać, że może bydź na całe życie ſzczęśliwe z tobą, lub wyday oſtatni wyrok odſądzaiący mnie od nadziei, zginę z oczu twoich y nie będzieſz wątpiła dłużey, czy umiem z ſiebie czynić ofiarę, gdzie o twoy los chodzi.

Starosta.

Y coż na to mowiſz Heleno?

Helena.

Wyznaię, żeby mi żal było tak zacnego przyiaciela, gdyby nadzieie iego nie zgadzały ſię z wolą Oyca mego, ale....

Starosta.

Wierz iak go ſzacuię, zawſze miałem za cel, twoię ſzczęśliwość, nie mogę o niey wątpić, ieżeli człowiek tak zacny, iak Wiernicki, twoim mężem będzie.

Agata.

Już czas muſzę krząknąć hę, hę,

SCENA IX.

WIERNICKI, STAROSTA, HELENA y AGATA.

Wiernicki.

(pada na kolana przed Heleną.)

Wybacz Pani, żem dotąd nie śmiał ufać, nie mogłem o ſobie ſądzić dość podchlebnie, żebym wart był Heleny, wiem iakiego loſu godna, y teraz ieſzcze nie śmiem.

HELENA.

Idąc za wolą Oyca mego, miło mi właſną ſkłonność w tym zezwoleniu znaleść.

WERNICKI (*do Oyca.*)

O zacny Oycze ſliczney Heleny, iak drogo płaciſz to przywiązanie, to uſzanowanie, z ktorym żyłem dla ciebie, boię ſię żebyś nie miał w podeyrzeniu ſentymentu, ktory właſnym cnotom winien byłeś, coż ia dla ciebie kiedy uczyniłem, a ty iak wiele dla mnie czyniſz?

STAROSTA.

Nie trzeba między nami tych wymownych wyrazow, urażaią przyiaźń, zbytnia delikatność y boiaźliwość często ieſt ſkutkiem zbytku miłości właſney uymuie ufności, a ia chcę, żebyś WPan był przekonanym, żeś dawniey y zawſze powinien był ufać znaiąc mnie y Helenę.

SCENA X.

ERAZM PODCZASZYNA STAROSTA HELENA WIERNICKI PODCZASZY AGATA y LA FLOR.

PODCZASZYNA.

A iuż też czas, kochany Staroſto! żebyśmy WPana zaſtali, iuż tu dziś trzeci raz ieſteśmy, a WPana w domu nie maſz.

ERAZM.

Co ia to prożno nie ſtraciłem czaſu, bo ſobie chodziłem po ulicach, y prawdziwie znayduię, że Warſzawa podobna do Miaſta, nakſztałt naſzych Miaſt Francuzkich, widziałem karety Paryzkie, upewniano mię, że tu robione, co mnie zdziwiło, nawet widziałem wiele Dam ubranych po Paryzku, miarkuię z wyborności ich gotowalni, że tu z czaſem można będzie ſprowadzić kupca z modami y z zapachami dla uſzczęśliwienia kraiu. Znam ich wielu partykularnie, ieżeli mi zlecona będzie ta negocyacya, mogę ſię podiąć dla miłości Oyczyzny.

STAROSTA.

Nic pożytecznieyſzego iak WPana proiekta na uſzczęśliwienie kraiu.

ERAZM (*do Heleny.*)

Et bien Madmoiſelle! iuż ſię czas zbliża, będziemy ſobie ſzczęśliwi, ale nam ſię trzeba umowić, co WPanna myśliſz czynić, iak ia odiadę do Paryża, trzeba rzeczy robić z przezornością.

HELENA.

(*nie mogąc ſię utrzymać od śmiechu.*)

Prawdziwie muſzę WPanu przyznać wiele przezorności.

PODCZASZYNA.

Już ci na coż bydź w tych ceremoniach, naylepiey iaśnie umowić ſię w intereſſach. Jndult mamy y wſzyſtko, poydziemy zaraz do ślubu.

STAROSTA.

Wiadome mi ſą wſzyſtkie ułożenia Jmc Pana Erazma dziękuię mu, że mnie nie oſzukuie, pokazuie iawnie, że mu poſagu, nie moiey corki trzeba do uſzczęśliwienia, z tak

z tak ſzczerym człowiekiem y ia otwarcie powinieniem ſobie poſtąpić, bo na coż te wſzyſtkie ceremonie, Oyciec Jegomościn był dobry Polak y moy przyiaciel, przyrzekłem mu, że wydam corkę moię za ſyna iego y chciałem tego dotrzymać mam ſamę Helenę za świadka, ale Jegomość ieſt Cudzoziemiec w tym kraiu, nic mu ſię niepodoba, za coż ſobie ma tę przykrość czynić, brać za żonę Polkę, ma tyle znaiomości w Paryżu to ſobie potrafi wybrać według ſwoiey myśli, moia corka dobra Polka, przyiaciela chce znaleść w mężu y iuż wybrała tego zacnego człowieka. Więc WPan Mci Panie Erazm możesz beſpiecznie wyieżdżać do Spa ſzczęśliwey mu drogi życzę.

AGATA (*do La Flora.*)

A czy iuż kufry popakowane.

PODCZASZY.

O tož to głowy do robienia intereſſow ślicznie wſzyſtko wykierowali, czy to tak po Francuzku?... Ale ten Pan *Marquis* diabła ziadł... Przecięż to kochana żonka, chwaliłem ią, że taka dobra goſpodyni, prawda

wda że y te kleynociki gładko przyfzły, ale na coż ie było dawać temu łotrowi przerabiać, iako to z tych Cudzoziemcow, można fię czego dobrego fpodziewać.

STAROSTA.

Nie trzeba czynić krzywdy Cudzoziemcom, znałem y znam bardzo zacnych w nafzym kraiu, trzeba wyłączyć tych, ktoremi fię kray każdy brzydzi, a nafza młodzież częfto biorąc ich za wzor obyczaiow, gubi fię dobrowolnie, y zafługuie wzgardę flufznych ludzi.

PODCZASZYNA.

Ja kleynoty ftraciłam, moy brat żonę bogatą, nie bardzo dobrze wyfzedł ten guft Cudzoziemftwa.

LA FLOR.

Pan mowił, że ma lift zaklinaiący, a tu widzę z nas brzydko za żartowali, czy taki to lift?

ERAZM.

Jefzcze swiat fzeroki dla młodego Chłopca, iabym powinien teraz wyzwać tego Jegomości, ale nąż fię niezlęknie, toby była fubiekcya. (*daie rękę Podczafzyny.*) *Alons madam alons nous promoner*, Podczafzynku profiemy z fobą, może fię los moy odmienić, ale dobry humor nigdy. (*odchodzi*) *fpiewaiąc.*

PODCZASZY.

Slicznie... bardzo pięknie, y modnie.. Ja ofzaleię z tą Francyą, oy żebym przynaymniey tego ofzufta złapał, przedałbym te kleynoty, a z targowałbym fobie rozwod, y pokoy w domu. (*odchodzi.*)

SCENA XI.

STAROSTA, HELENA, WIERNICKI, y AGATA.

STAROSTA.

Już fię obefzło bez liftu (*bierze Helenę pod iedną rękę, a Wiernickiego pod drugą.*)

Wy moie kochane dzieci! podzcie zemną, przyſięgę wykonać, że będziecie ſzczęśliwi y ia zwami, chociaż w Polſzcze nie w Paryżu żyć będziemy.

KONIEC.